

DZIEDZIC

złamanych dusz

FIRST LOVE #1



NINA SŁOWIK



NINA SŁOWIK

DZIEDZIC
złamanych dusz

FIRST LOVE #1

Copyright © for the text by Nina Słowik

Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Katarzyna Moch

Korekta: Aleksandra Krasieńska, Natalia Szoppa, Aleksandra Płotka

Skład i łamanie: Michał Swędrowski

Oprawa graficzna książki: Weronika Ligeza

Ilustracje: Weronika Ligeza

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8418-045-7 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwniezwykle](#)
✂ Wyd_NieZwykłe
🎵 [wydawnictwniezwykle](#)

Dla Ciebie, jeśli nadal w siebie wątpisz. Koliber, ważący niespełna kilka gramów, potrafi przelecieć setki kilometrów bez postoju. Siła tkwi w niezłomnym duchu. Rozwiń skrzydła i leć po swoje.

PROLOG

*Poznanie go było śnieżycą
Przebywanie z nim – wichurą
Uczucie – skwarem
Pocałunki – żarem
Jego reputacja – mrokiem*

A nasze rozstanie... c z a r n y m o t c h ł a n i w o ł a n i e m

ROZDZIAŁ 1

Witamy w Chapel Hill

*Czekam na wiatr, co rozgoni
Ciemne, skłębione zasłony
Stanę wtedy na raz
Ze słońcem twarzą w twarz
Manaam – „Krakowski Spleen”*

MADELINE

Gdy Collin i ja byliśmy mali, gdzieś pomiędzy zrywaniem jabłek i śliwek w sadzie a puszczeniem latawców, które mozolnie wspinały się po bezchmurnym niebie, lubiliśmy zakradać się boszo do nieużywanego pick-upa mojego taty. Odkąd sięgam pamięcią, stał on pod gigantycznym dębem i nie ruszył się stamtąd już nigdy, nawet o parę centymetrów. Paradoksalnie wraz z kuzynem przemierzaliśmy owym autem wszechświat wzdłuż i wszerz – przez góry, oceany i nieodkryte kontynenty, aż do

księżycą i z powrotem, i jeszcze dalej. Collin zawsze wskakiwał za kierownicę, która wtedy wyglądała komicznie na tle jego filigranowej chłopięcej postaci, i udawał, że prowadzi, chociaż nogami nie sięgał nawet pedałów, natomiast ja, z maskotką królika pod pachą, zazwyczaj wylegiwałam się z tyłu, na ogromnej skrzyni ładunkowej.

Pamiętam nas dobrze z tamtych dni. Byliśmy podróżnikami i marzycielami z krwi i kości. Collin zawsze wymyślał jakiś ciekawy cel podróży typu stan Oklahoma, a ja patrzyłam wtedy prosto na wędrujące w dół słońce i snułam na głos wyimaginowane opowieści o tym, jakie przygody nas tam spotykają, jakich ludzi poznajemy, a co najważniejsze – kim się stajemy.

Wciąż słyszę szepty tamtych dni, czuję ciepło promieni słonecznych na skórze i nadal mam przed oczami radosną twarz małego Collina, którego, tak samo jak i mnie, nieruszający się ze swojego miejsca pod dębowymi gałęziami samochód wznosił na wyżyny dziecięcej wyobraźni i pozostawiał po sobie prezent w postaci beczennych, słodkich chwil i zdartego do granic możliwości gardła.

Wspomnienia.

Tamte dni minęły bezpowrotnie. Era dwóch warkoczy i plecaków wypełnionych żelkami wyparowała w powietrze, ale oto jesteśmy, całą dekadę później, tym razem poruszając się całkiem sprawnym autem. Znow w trasie, znow obok siebie, znow w obcym stanie.

A wszystko przez to, że z dnia na dzień musiałam się wyprowadzić z miejsca, w którym mieszkałam od urodzenia. Wraz z Collinem, który zaoferował pomoc przy przeprowadzce, opuściliśmy nasze rodzinne Tennessee i parę godzin później wjechaliśmy na rozległe tereny Karoliny Północnej, ostatecznie kończąc podróż w małej miejscinie o nazwie Chapel Hill, w której już jutro rozpocznę ostatni rok liceum, nie znając tu kompletnie nikogo. Moja mama jest z zawodu pielęgniarką, a że w UNC Medical

Center, ulokowanym w Chapel Hill, aktywnie szukano pomocy medycznej i hojnie wspierano przy relokacji, zdecydowała się na zmianę pracy i naszego życia o sto osiemdziesiąt stopni. Musiałam ją sporo namawiać i zapewniać, że nie odbije się to źle na mojej edukacji. W końcu ja będę musiała przetrwać tu jedynie ostatni rok liceum, a dla niej może to być okazja życia.

– Tylko się tak nie stresuj, Maddie. – Do moich uszu dociera lekko zachrypnięty głos Collina, co sprawia, że odwracam głowę w jego kierunku.

– Wcale się nie stresuję.

Collin unosi jedną brew, patrząc na mnie z ukosa, i jednocześnie wrzuca wyższy bieg, wciskając sprzęgło.

– Mhm... Czyli hobbystycznie odrywasz Krowie głowę?

Znaczenie jego słów dociera do mnie z lekkim opóźnieniem. Kiedy jednak uświadamiam sobie, co ma na myśli, przenoszę spojrzenie na swoje dłonie, którymi wykręcam głowę małej, pluszowej krowce, zwanej nomen omen Krowa. Collin doczepił ją do swoich kluczy od domu, żeby były lepiej widoczne w jego zagraconym pokoju. Z trudem rozluźniam palce i gładzę kciukiem łaciaty brzuch, jakby ta mała czułość mogła odczarować wszelkie zło.

– Muuu-siałas wyżywać się akurat na mojej Krowie? – Collin szturcha mnie zaczepnie w ramię, a ja po chwili odwdzięczam się tym samym.

– Pachnie tobą, więc chyba podświadomie kojarzę ją z czymś irytującym.

– Chyba chciałaś powiedzieć: „z czymś olśniewającym”. – Collin teatralnie eksponuje ręką swoją twarz, którą akurat rozświetla pojedynczy promyk słońca, po czym wybucha głośnym śmiechem, a ja po chwili również do niego dołączam i czuję, jak stres powoli mnie opuszcza.

Może nie jestem jakoś specjalnie nieśmiała z natury, ale od zawsze boję się zmian. A tu nawet niebo wydaje się inne.

W Tennessee zazwyczaj przybierało barwę zamrożonego jeziora, natomiast to w Chapel Hill przywodzi mi na myśl wzburzony ocean. Jest nieco mroczne, agresywne. I totalnie mi obce.

– Koleżanka mi mówiła, że kiedyś była z ojcem w Chapel Hill, i podobno to dosyć bogate miasteczko, mimo że jest na totalnym zadupiu, jak widać. Pamiętasz ją może ze szkoły? Arabella Morris, ta wysoka blondynka, która była ze mną w klasie.

Ściągam brwi, zastanawiając się, o kim mowa.

– Arabella... Nie, nie pamiętam jej.

– Najwidoczniej masz pamięć złotej rybki, Maddie.

– A ty twarz jak Shrek po przejściach, a jakoś nikt nie narzeka.

– Durna jesteś, ty i te twoje żarty, tyle ci powiem – parska Colin, ale wbrew temu, co mówi, na jego twarzy maluje się szeroki uśmiech.

– To u nas rodzinne – kwituję, chichocząc pod nosem.

Mijamy małe centrum, które składa się głównie z ceglanych budynków pamiętających zapewne jeszcze wojnę secesyjną, a nawigacja pokazuje nam, że za parę minut wreszcie będziemy w moim nowym domu. Głośniki vana ożywają za sprawą puszcanych w wieczornej audycji utworów zespołu Queen. Podglądniam, wciskając parokrotnie mały, metalowy guziczek w radiu, i kołyszę się lekko na boki.

Is this the real life? Is this just fantasy?, mocny baryton Frieddiego rozbrzmiewa w aucie. Ja też bym chciała wiedzieć, czy to prawdziwe życie, czy tylko moja fantazja. Wszystko dzieje się tak szybko, że wydaje się nierealne.

Jeszcze wczoraj leżałam na sofie w swojej pluszowej piżamie w zielone żabki, jadłam lody o smaku słonego karmelu i ogrywałam Collina w chińczyka, a dziś, o tej samej porze, kuzyn odwozi mnie do obcego miasta, które wkrótce stanie się moim nowym domem.

W dodatku dostaję oczopląsu przez całkowicie nowe dla mojego oka tereny. Jestem cały dzień w trasie. Wreszcie zmęczenie

bierze nade mną górę i niekontrolowanie przysmykam powieki. Głowa robi mi się ciężka i najchętniej wskoczyłabym już pod prysznic, pozwalając sobie na chwilę odprężenia pod ciepłym strumieniem wody. Potem tylko kakao, świeczka, kocyk...

– O cholera. – Z rozmarzonych myśli wyrывa mnie głos Collina.

– Co? – Otwieram oczy i mrugam powoli, zdając sobie sprawę, co wywołało u niego taką reakcję. – O cholera – powtarzam za nim.

Naszym oczom ukazuje się zjawiskowa alejka drzew magnolii, która wygląda jak ze scenerii bajek Disneya. Całe moje zmęczenie wywołane podróżą i stres spowodowany jutrzejszym dniem zostają wymazane jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Otwieram okno i wychylam przez nie głowę, stukając radośnie palcami o czerwone drzwi vana. Wiatr lekko rozwiewa mi włosy, wplątując w nie woń jeziora, mokradeł, lasu sosnowego, a przede wszystkim tych pięknych magnolii, które bezpretensjonalnie prowadzą do jedynej posiadłości w zasięgu paruset metrów.

Nasz nowy dom, urządzony w stylu kolonialnym, ulokowany jest u stóp małego jeziora. Jest stary i nadaje się do renowacji, która zapewne pochłonie wszystkie nasze oszczędności. Gdzieś niedługo łuszczy się tynk, a biała farba odpryskuje z elewacji. Pojedyncze rynny są zardzewiałe, a dach lekko zniszczony. To są jednak mało znaczące mankamenty, które zapewne zostaną nam wynagrodzone przez atuty tego domu – niebieskie okiennice dodają mu niewątpliwie uroku, a klimatyczna weranda z podwójną huśtawką i fotelami wiklinowymi aż się prosi o spędzanie na niej leniwych, letnich wieczorów. Wystarczy odrobina wyobraźni, żeby wyłuskać z tego miejsca domowe ognisko.

Miętowy volkswagen beetle mojej mamy jest zaparkowany przed domem, a ona sama przebiera nogami, kiedy parkujemy tuż obok. Po chwili wysiadamy z vana i nieco się ociągając, prostujemy kolana na trawniku.

– Ta obsuwa to nie przeze mnie. – Collin unosi ręce w geście kapitulacji. – Jechałem trochę wolno, bo van jest przeciążony pudłami Maddie.

– Nic się nie stało – zapewnia mama. – I tak jestem ci wdzięczna za to, że pomagasz nam w przeprowadzce. Macie może jeszcze trochę siły, żeby wnieść te pudła do środka? Muszę pojechać do szpitala i dostarczyć parę dokumentów przed jutrem.

– Jasne. – Collin kiwa głową. – Chociaż połowa z tych rzeczy to książki Maddie. Po co ich tyle brałaś? Jako podpałkę?

Mój kuzyn na drugie imię powinien mieć „Prowokator”.

– Jeszcze słowo, a zbuduję ci z tych pudełek trumnę – rzucam żartobliwie.

– Maddie, tylko proszę, nie pozabijajcie się z Collinkiem – ostrzega mnie mama, doskonale świadoma naszych wybuchowych temperamentów, po czym wsiada do beetle’a, odrzucając blond włosy za ramię. – Ach, zapomniałabym – mówi, wychylając głowę przez okno samochodu. – Twój mundurak leży wyprasowany w twojej sypialni. Nie zapomnij powiesić go do szafy.

– Dzięki, mamó.

– Nie ma sprawy. Tylko nie wychodź nigdzie sama po zmroku, nie znasz jeszcze tych okolic.

– Jasne – zapewniam, po czym machamy jej z Collinem na pożegnanie i czekamy, aż bezpiecznie odjedzie.

Wniesienie wszystkich pudeł zajmuje nam nieco ponad godzinę. Może trwałoby to trochę krócej, gdyby nie bujna wyobraźnia mojego kuzyna. Collin niejednokrotnie czytał opisy widniejące z tyłu moich książek i zgadywał, jak ich historie mogłyby się potencjalnie skończyć. Ożywiony prowadził długie monologi, a mi jedynie drżała powieka, kiedy po raz dziesiąty wsadził głównego bohatera za kratki po tym, jak ten ukradł skórę węża afrykańskiemu szamanowi, a bohaterkę wysłał na zrywanie kokosów do Tajlandii, żeby mogła uzbierać pieniądze na kaucję dla ukochanego. Naprawdę, ktoś powinien dać mu

dożywotni zakaz wymyślania jakichkolwiek historii, bo rynek wydawniczy z całą pewnością nie jest na to gotowy. Przynajmniej ja nie jestem.

Kiedy jest już po wszystkim, a Collin rozsiada się na kanapie z pilotem i *Czwartym skrzydłem* Rebekki Yarros, podbiegam do gniazdka elektrycznego i wyciągam wtyczkę od kabla do telewizora, a następnie wyrwam chłopakowi z ręki niedawno zakupioną książkę i odkładam ją z powrotem na świeżo uporządkowany regał.

– Co ty robisz? Zwariowałaś?

– Idziemy na spacer.

– Czyli zwariowałaś – wzdycha.

– Ruchy! – Tykam go stopą w tydkę.

– O tej porze?! Po całym dniu jazdy? – marudzi. – Skąd ty bierzesz te wszystkie dziwne pomysły? Czasem patrzę na ciebie i widzę normalnie... obce geny. Normalnie jakby ktoś podrzucił cię do nas za dzieciaka, przykładowo stado orangutanów. Nigdzie z tobą nie idę, ty blondwłosy małpiszonie.

– Zrób to dla mnie – proszę go tym samym tonem, którego używam, namawiając mamę, żeby zarejestrowała mnie u lekarza, mimo że niedługo będę pełnoletnia i już od dawna sama powinnam to robić.

– Nie ma opcji. Nie ma mowy. – Kręci głową. – Idź spać, jutro szkoła.

– Collin...

– Nie. Dopiero co przywiozłem cię tu z innego stanu. – Kuzyn obrzuca mnie pełnym pretensji spojrzeniem, przytulając poduszkę do klatki piersiowej. – Nie czuję już nóg i zmęczyłem się całym tym opowiadaniem o książkach. Poza tym ledwo co widzę już na oczy. Nigdzie się nie ruszam, zapomnij, Mad. Po prostu nie. Nie, nie, nie.

– Jeśli się zgodzisz, kupię ci „Dziedzictwo Hogwartu” na PlayStation – proponuję.

Piętnaście minut później Collin, ubrany w swoją ulubioną kurtkę, stoi już na werandzie, gotowy do wyjścia.

– Nie czuję nóg. – Starszy ode mnie kuzyn ze zmęczeniem wymalowanym na twarzy dogania mnie na dworze po godzinnym spacerze, ledwie za mną nadąża.

Wiem, że mu się nie chce, ale nigdy nie zostawiłby mnie samej, szczególnie w nowym miejscu. Nawet gdybym nie zaoferowała kupna gry, którą i tak zamierzałam mu podarować w podziękowaniu za pomoc w przeprowadzce, to on i tak pewnie wybiegłby za mną z domu. To mój taki „partner w zbrodni”. Ponarzeka, lecz zawsze pomoże, choćby musiał pojechać na Alaskę w środku nocy tylko po to, żeby odebrać mnie z nieudanej imprezy. Kuzyn na medal. Może tylko mógłby częściej pracować sobie skarpetki, ale to już szczegół.

– Za chwilę będziemy z powrotem w domu.

– Maddie, Maddie, Maddie. – Collin zatrzymuje mnie ruchem dłoni. – Zazwyczaj chodzisz na spacer wtedy, kiedy się czymś stresujesz. – Mruży oczy, skanując moją twarz. – Jest aż tak źle?

– Właściwie to nie aż tak bardzo. Chciałam po prostu rozejrzeć się po okolicy, ale jak się okazuje, oprócz rodziny wiewiórek i stada motyli nie mam żadnych sąsiadów – tłumaczę, po czym słyszę burczenie własnego brzucha. Wyciągam z torebki truskawkowego lizaka. Będzie musiał wystarczyć mi na podwieczorek.

– Pierwsze dni na pewno będą dla ciebie nerwowe. Przynajmniej będziesz mogła w spokoju odpoczywać po szkole – stwierdza Collin, a następnie wrywa mi lizaka z ust.

– Tam jest moja ślina. Jak to włożysz do gęby, to będzie tak, jakbyśmy się całowali – krzywię się, a Collin w tej samej sekundzie całuje się wzdryga.

– Fu, faktycznie. – Udaje odruch wymiotny. – No, to powiedz, Maddie – zaczyna mówić, machając lizakiem tuż przed moimi oczami, jakby to był truskawkowy wykrywacz kłamstw. – Dasz sobie radę beze mnie w nowej szkole?

Czy dam radę, tego nie wiem. Jestem jednak pewna, że zrobię, co w mojej mocy, żeby przetrwać ten rok. Nie należę do ludzi, którzy łatwo odpuszczają czy też boją się nowych wyzwań.

Postanawiam sobie, że po prostu będę robić swoje – cel numer jeden to nierzucanie się w oczy. Cel numer dwa to zdobycie średniej, która pozwoli mi na otrzymanie stypendium naukowego na studia. I to tyle. Koniec, kropka. Nic ani nikt mnie przed tym nie powstrzyma.

Mimo stresu buzującego mi w żyłach jestem zdeterminowana na tyle, że nawet gdyby czekały mnie tam najkwaśniejsze cytryny, to siłą ducha wycisnę z nich najsłodszą lemoniadę.

– O mnie się nie bój. – Daję mu kuksańca w bok i odbieram swoją truskawkową własność. – Martw się o swój powrót, bo nie wiem, czy obejdzie się bez lawety.

– Oż ty! – Col przyciąga mnie do siebie i zaczyna czochrać mi włosy. – Czujesz się swojsko, jak ci tak robię? Widziałem kiedyś na National Geographic, że orangutany lubią sobie tak skubać wzajemnie sierść w wolnych chwilach. To jak, pojawiają ci się teraz flashbacki z czasów z pierwszą rodziną?

Wyrywam się z jego uścisku i kopię go lekko w cztery litery.

Patrzę na tę jego zadowoloną z siebie twarz, na oczy, z których bije duma za każdym razem, kiedy głęboko wierzy w to, że powiedział coś zabawnego, i już wiem, że będę za nim piekielnie tęsknić. Wkurza mnie niemiłosiernie, tak bardzo, że czasem mam ochotę zapakować go w rakietę kosmiczną, wcisnąć wielki, zielony przycisk „START” i obserwować, jak opuszcza naszą planetę w poszukiwaniu innych cywilizacji. Ale przy nim zawsze mogę być sobą. Nikogo nie udaję.

Przy Collinie jestem po prostu Madeline Whitmore w pełnej okazałości, ze wszystkimi jej humorkami.

Znosił mnie podczas niespodziewanych i nieuzasadnionych napadów śmiechu, w okresie moich pierwszych miłości i podkochiwania się w jego kolegach z drużyny koszykarskiej.

Tolerował też moje humory w czasie miesiączki. Kupował mi wielkie pudło lodów i wpadał do pokoju z jakimś debilnym pytaniem w stylu: „A to prawda, że jak kichniecie podczas okresu, to wylewa się tam na dole ogromna kałuża krwi?” albo: „Ciekawe, jak wampiry wytrzymują okres u swoich dziewczyn, co?”.

Wiem, że będzie mi go brakowało i nawet regularne rozmowy przez FaceApp mi tego nie zrekompensują.

– Chodźmy do domu. Pamiętam, w którym z pudeł mama schowała trochę wina i bourbona. – Biorę Collina pod rękę i mrużę parę razy, żeby pozbyć się łyzy kręcącej mi się w oku. Ostatecznie muszę otrzeć sobie policzek, co nie umyka jego uwadze.

– Ryczysz? – Kuzyn patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Tak, bo mam na ciebie alergię – kłamię, ale widzę, że tego nie kupił. Znamy się w końcu całe życie.

– A, no tak, a ja ostatnio wyjątkowo mocno rozkwitam. – Puszczam mi oczko, a potem przyciąga mnie i przytula do siebie nieco mocniej niż zazwyczaj.